

Świat już (mi) nie pachnie

5 stycznia 2025

Punktem wyjścia dla moich refleksji jest tekst Magdaleny Okraski [„Skok na kiosk. Jak zniknęły blaszane świątynie osiedłowe”](#). Autorka pokazuje, jak powoli, krok po kroku, w milczeniu, bez aplauzu ani bez przesadnego załamywania rąk, znikają z naszego pejzażu konsumenckiego kioski. Opisuje ona, jak doszło do ich upadku, co je zastąpiło i dlaczego nie mogły wygrać walki o przetrwanie. Tekst to w pigułce dzieje kiosku jako pewnej instytucji kulturowej.



O tym, że kioski są już przeszłością, dobitnie świadczy fakt, że trafiły na swoje wysypisko, które, jak ładnie określa je Magdalena Okraska, jest „cmentarzyskiem kioskotrupów”. Ot, po prostu zwieziono na przypadkową łąkę dziesiątki różnego rodzaju kiosków. Zyskawszy pewną sławę, i po ogrodzeniu, miejsce to stało się samozwańczym „muzeum”, którego celem jest „podziwianie” ich śmierci. Nie byłem w tym miejscu (znajduje się ono 100 km od Warszawy) i nigdy nie pojadę. Wystarczył mi kiedyś widok we wrocławskim muzeum „mojego” komputera Atari, na którym sam lub z Marcinem Kostką graliśmy godzinami, zmuszając się do zachowania ciszy, gdy przy nieznośnym pisku wgrywała się nowa gra, gdyż uważaliśmy, że nie wgra się ona,

jeśli będziemy rozmawiać.

Magdalena Okraska trafnie zauważa, że kioski Ruchu były nieodłącznym elementem krajobrazu dzieciństwa osób, które urodziły się najpóźniej pod koniec lat osiemdziesiątych. Ma ona na myśli to, że poza opatrzeniem się z kioskiem jako naturalnym elementem krajobrazu (mało)miastowego było się ich użytkownikiem, tj. kupowało rzeczy przeznaczone dla dzieci czy nastolatków.

Zapewne jakaś niewielka grupa dzieci, jak ja właśnie, miała możliwość choć od czasu do czasu bycia po drugiej stronie, czyli w środku kiosku. Mój Dziaduś (nigdy nie używałem słowa „Dziadek”, to i teraz tak nie będę pisał), Tadeusz Rydlewski, pracował w kiosku, choć nie pamiętam, czy był to kiosk Ruchu. Dorabiał chyba w ten sposób do emerytury, a sam kiosk znajdował się pod jego blokiem przy ulicy Wojska Polskiego w Złotoryi. Jeśli się nie mylę, pracował tak do śmierci w 1989 roku. Miałem wtedy pięć lat. Mama czasami zostawiała mnie tam na krócej lub dłużej, gdyż było niedaleko Rynku, a w dodatku po drodze do naszego bloku na tej samej ulicy. Nie mam już możliwości dopytania nikogo o szczegóły, bo wszyscy nie żyją, ale podejrzewam, że po prostu tak łatwiej stało się w kolejce, robiło zakupy, załatwiała różne sprawy, tj. bez marudzącego dziecka.

Niewiele pamiętam szczegółów z pobytów w kiosku, raczej emocje, zapachy i jakieś obrazy. Wiem jednak, że uwielbiałem tam być, bo byłem bardzo z Dziadziusem związany i miał też on do mnie wiele cierpliwości. Moja Mama wspominała, przy okazji jego śmierci czy po prostu wtedy, gdy mijaliśmy miejsce, gdzie stał kiosk, że lubiłem tam być i „trudno było cię stamtąd wyciągnąć”.

Nic w tym dziwnego, był wszak kiosk, jak trafnie zauważa Magdalena Okraska, mikrokosmosem z bizantyjskim nagromadzeniem różnego rodzaju towarów. Dla tak małego dziecka to był świat dziwów, curiosów, swoisty gabinet osobliwości z rzeczami z

różnych stron świata, egzotycznymi towarami niewiadomego pochodzenia i nie zawsze jasnego przeznaczenia, w którym wszystko mieszało się z wszystkim. To był bez wątpienia niezwykle kolorowy świat, który posiadał wyjątkowy zapach.

Właśnie zapach pamiętam najlepiej. Pachniały gazety, papierosy, wody kolońskie czy inne perfumy, tworząc jakiś dziwaczny, ale spójny zapachowy pejzaż. Najlepiej pamiętam papier toaletowy, cienki i o kartonowym zapachu. Były samochodziki (wtedy się mówiło: resoraki), jakieś składane modele, chyba samolotów. Figurki żołnierzy i rycerzy, którzy wspólnie tworzyli moją małą armię. Została ona potem skutecznie zastąpiona przez niewielkie paczki małych plastikowych żołnierzyków, które Mama kupowała mi na koloniach w Darłównie (te same wzory, choć większe i toporniejsze, są dzisiaj w Pepco). Były różnokolorowe długopisy i małe notesy.

Dużo lepiej pamiętam sklep w wiejskim klubie w Uniejowicach. Prowadziła go moja Babcia ze strony Mamy. Byłem już wtedy starszy, a że każde ferie czy wakacje spędzałem na wsi, to i siłą rzeczy bywałem w klubie, bo tam zawsze coś się działo. Była to mała przestrzeń wypełniona wszystkim, co tylko się dało, ale głównie rzeczami codziennego użytku. Najlepiej pamiętam perfumy o duszącym zapachu. Pachniała nimi moja matematyczka w szkole podstawowej w klasie 1-4.

Świat, który jawił się wtedy dziecku, był zaczarowany, jeszcze nie do końca zrozumiały, bo nie do końca poznany. A poznawany był przecież samodzielnie, korzystając głównie ze zmysłów, a nie umysłowej analizy w trybie zdystansowanym. Dziecko przeżywa świat, a nie o nim myśli. Chłonie jak gąbka zapachy, widoki i smaki. Z biegiem czasu one bledną, zatracamy je, zapominamy. Powracają jednak, najczęściej nieproszone i przypadkowo, jako swoiste małe epifanie codzienności, gdy niespodziewanie uobecni się jakiś zapach i przywoła świat z przeszłości.

Nasze dzieciństwo, o którym wspomina Magdalena Okraska,

przypadające na okres lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, miało swoje zmysłowe pejzaże: dźwiękowe, wizualne, zapachowe, dotykowe. Antropolodzy kulturowi, choć nie tylko ci po ukończonych studiach, wszak można być antropologiem nigdy nie słuchając wykładów, jak pisał klasyk tej dziedziny, potrafią rekonstruować pejzaże całych miast, osiedli, a nawet podwórek.

Walter Benjamin, jeden z najciekawszych filozofów-pisarzy XX wieku, napisał zbiór krótkich tekstów pt. „Berlińskie dzieciństwo”. W tej przepięknej książce o pamięci i zapomnianiu, tęsknocie do tego, co bezpowrotnie utracone, a w czym po latach odnajdujemy siebie, pisał: „Żyłem w dziewiętnastym stuleciu jak mięczak w muszli, a teraz ono leży przede mną puste jak niezamieszkała muszla. Trzymam ją przy uchu. Co słyszę? Wcale nie kanonadę artylerii ani nie muzykę balową Offenbacha, ani też nie wycie fabrycznych syren, jazgot giełdy w południe, nawet nie stuk końskich kopyt o bruk czy muzykę marszową podczas parady wojskowej. Nie, słyszę krótki łoskot węgla, który z blaszanego pojemnika wpada do żelaznego pieca, stłumiony wybuch, z jakim zapala się żarnik lampy gazowej i pobrzękiwanie jej klosza na mosiężnej podkładce, gdy ulicą przejeżdża wóz. Jeszcze inne odgłosy...”. Nieco dalej notuje: „[...] jestem zdeformowany podobieństwem do wszystkiego, co mnie otacza”.

My także, każdy z nas, jesteśmy jak mały Walter, spoglądający na nas ze zdjęcia otwierającego książkę, jesteśmy zdeformowani poprzez dźwięki czy zapachy, które były pierwsze i stały się naszym cielesnym wręcz światem. Światem, który nie istnieje już nigdzie indziej poza nami. Wystarczy pooglądać dłużej i z pewnym nastawieniem fotografie rodzinne, aby np. wyobrazić sobie domowe dźwięki wydawane przez to czy inne urządzenie. Starać się krok po kroku przywracać zapachy, choćby tylko po to, żeby przypomnieć sobie jak było, albowiem jeśli nie zrobimy tego my, nie robi tego nikt. To historia nie tylko danego miejsca, ale i nas samych. Jesteśmy przez nie

zdeformowani, przy czym nie należy traktować tego w kategoriach kalectwa.

Kioski w Złotoryi, podobnie jak w innych miastach i miasteczkach Polski, są już reliktem. Gdy byłem w swojej rodzinnej miejscowości w listopadzie, to widziałem tylko jeden, pusty, przy ulicy Cmentarnej. Ten, w którym pracował mój Dziadziuś Tadeusz, dawno już zniknął. Na jego miejsce pojawił się budyneczek, taki właśnie kioskowy, tyle że dwa razy większy. Było już tam wszystko, m.in. sklep odzieżowy i bibeloty do mieszkania. Żaden chyba nie zagrzał miejsca na dłużej.

Nasze dzieciństwo, przypadające na wspomniane czasy, było dzieciństwem niezapośredniczonym medialnie w takim stopniu, w jakim jest ono zapośredniczone dzisiaj. Pamiętam, jak będąc już w liceum, korespondowałem z moją rówieśniczką Włoszką poznaną na wakacjach. Czekałem na jej listy, które przynosił listonosz. W tym medialnym sensie bliżej mi do bohatera piosenki Czesława Niemena „Wspomnienie” z 1976 roku niż do osób młodszych ode mnie o dwadzieścia lat. To w tej piosence listy „pachną w sieni”. Dzisiaj są one dostarczane w cyfrowej, zdematerializowanej formie w sekundę. Ale już nie pachną.

Każda zmiana medialno-techniczna coś daje – i coś zabiera. Szybkość kosztem zapachu. Wolę ten zapach (i realny, i metaforyczny), choć oczywiście czynię to z dzisiejszego punktu widzenia, bo wtedy oddałbym wszystko, żeby móc z nią rozmawiać codziennie. Rachunek zysków i strat można jednak przeprowadzić dopiero z czasowego oglądu, bo dopiero z oddali widać, co traciłbym wtedy, choć nie miałbym poczucia straty.

To ciekawe i fascynujące pole namysłu, jak media pod wpływem rozwoju technologii zmieniają nasze zmysłowe pejzaże. W przeciekawy sposób pisze o nich kanadyjska szkoła antropologii zmysłów, wywodząca się z badania mediów, np. słowa czy pisma, która używa w tym kontekście pojęcia modelu czy wzorca sensorycznego wytwarzanego przez każdą kulturę.

Czy nasze dzieciństwo, jako mniej zmediatyzowane, było zmysłowo bogatsze? Czy pracowało w nim więcej zmysłów? Czy były one bardziej wyczułone? Pewnie nie, ale to rzecz do zbadania.

Kilka dni temu kupiłem Amol, który w szafce zawsze miała moja Babcia. Nic mi nie dolega, ale potrzebuję go bardziej niż gdybym był chory, choć wiem, że tego akurat Amol nie leczy (a leczył wszystko).

Autorstwo: dr Michał Rydlewski

Zdjęcie: Magdalena Okraska

Źródło: NowyObywatel.pl